



Rok Słowackiego

Popiersie poety, dłuta Konstantego Laszczki (czytaj felieton Tutejszego na stronie drugiej).

Fot. — CAF

PORTRET SASKII i SZKIC MIASTA

Lipsk ma tradycje księgarskie i wyrobu futer. Poza tym, oczywiście, jest miastem międzynarodowych targów. Ale gdy chodzi o dzieła sztuki Drezno bije go na głowę. W Lipsku przybysze oglądają potężny pomnik, wzniesiony na pamiątkę słynnej bitwy napoleońskiej („Völkerschlacht - Denkmal”). Przyznam się szczerze, że osobiście — poza ogromem — pomnik ów nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia. Jest olbrzymi, i — jeżeli tak można powiedzieć — programowo ciężki. Jak nas objaśniono, jest okazem najczystszej secesji. Z daleka przypomina olbrzymi bunkier, z bliska wrażenie to potęguje się jeszcze bardziej. Natomiast zwiedzenie galerii drezdeńskiej — to naprawdę wielkie przeżycie artystyczne.

Sam budynek galerii zbudowany został specjalnie w tym celu przez księcia saskiego. Był on lepszym mecenasem sztuki, niż politykiem. W każdym razie pod pierwszym względem zapisał się dobrze w historii. Wielu ówczesnych malarzy tworzyło na jego dworze. Wymieńmy choćby Boticellego,



Rembrandt i Saskia, ok. 1636—7, Galeria Drezdeńska.

znanego nam również z Warszawy.

Zwinger — bo tak zwie się drezdeńska galeria — mocno ucierpiał w czasie ostatniej wojny. Krótko przed jej zakończeniem, 13 lutego, o godz. 22,09, na miasto spadło 300 tys. bomb. W wyniku nalotu 11 tysięcy domów legło w gruzach. Zbombardowana część Drezna, ok. 15 km², tworzyła śródmieście, w którym — oprócz innych — mieściła się sławna galeria...

Dziś galeria jest niemal w pełni odbudowana. Z bezcen-
(Ciąg dalszy na str. 3)

Mity i statystyka

Interesujący artykuł pt. „Jak religijni są katolicy?” zamieściło londyńskie emigracyjne „Zycie”.

Autor artykułu, pan Antoni Pośpieszański, zapoznaje czytelników pisma z analizą stanu religijności na Zachodzie Europy w świetle wydanej w r. 1957 w Londynie książki prof. M. P. Fogarty pt. „Chrześcijańska Demokracja na Zachodzie Europy”.

Z całego szeregu ankiet — informuje pan Pośpieszański — cytowanych przez autora w formie tablic statystycznych, ankiet dotyczących zresztą zarówno społeczności katolickich jak i protestanckich, wyłania się bardzo uderzający obraz geografii religijnej Zachodniej Europy. Oto przez środek tego obszaru, od Belgii i Holandii na północy poprzez obszary pogranicza francusko-niemieckiego i Szwajcarii aż do północnych Włoch, ciągnie się pas wysokiej praktyki religijnej. Na zachód i na południe od tego pasa rozciąga się obszar stosunkowo niskiej praktyki religijnej, obejmujący większą część Francji, Hiszpanii oraz środkowe i południowe Włochy wraz z Rzymem.

Jak wynika z danych, zebranych przez prof. Fogarty, najwyższy odsetek praktykujących katolików można zanotować w Holandii (90), ale... jedynie w kilku rejonach. Poza tym w całym kraju, zwłaszcza na obszarach wielkich miast, religijność jest znacznie słabsza.

Jeśli chodzi o kraje „tradycyjnie katolickie” — takie, jak Włochy, Francja i Hiszpania — to, jak już mówiliśmy, prof. Fogarty ocenia istniejący w nich stan religijności nader pesymistycznie.

W tej względnej pustyni — stwierdza Fogarty, a przytacza to za nim autor cytowanego artykułu —

są wyspy wysokiej praktyki religijnej w Bretanii, czy takich miejscach jak Lourdes, ale nie jest taką wyspą sama stolica chrześcijaństwa — Rzym, gdzie poziom praktyki religijnej jest skandalicznie niski. Analogicznie do tej południowo-zachodniej pustyni religijnej, przeważnie katolickiej, na północ i na wschód od centralnego pasa ciągnie się podobna pustynia, przeważnie protestancka.

Jako liczbę typową podaje tu autor artykułu za prof. Fogarty 25—30 proc. praktykujących we Włoszech; we Francji, poza niektórymi rejonami (Wandea, Bretania) analogiczna liczba jest jeszcze niższa. Czerpiąc informacje o książ-

ce proc. Fogarty z drugiej ręki trudno byłoby wypowiadać się na temat metody opracowania danych o religijności. Narzuca się tu jednakże jedna niewątpliwie uwaga. Formułuje ją zresztą sam autor recenzji, co prawda nie w związku z tymi danymi, lecz w kontekście rozważań nad religijnością w Polsce:

Miarą stosunku do religii — pisze on — może być tylko praktyka religijna, choć nikt oczywiście nie twierdzi, że sama ta praktyka wystarcza.

Inaczej mówiąc, uczestnictwo w kulcie może być dla statystyki jedynie bardzo ogólnym wskaźnikiem stanu religijności — nie daje on obrazu stopnia zainteresowania uczestników, przeżywania przez nich treści religijnych. Nie ulega wątpliwości, że gdyby brać ten istotny, psychologiczny czynnik pod uwagę, liczby określające „stan religijności” byłyby jeszcze niższe.

Od analizy stanu religijności na zachodzie Europy przechodzi następnie pan Pośpieszański do rezultatów znanej ankiety odnośnie religijności polskich studentów. Podkreślając solidność roboty socjologów, którzy ankietę tę opracowali, współpracownicy emigracyjnego pisma stwierdza: „...Tradycyjnie byliśmy skłonni określać Polskę jako obszar wysokiej religijności, ale tradycyjne i sumaryczne oceny nie poparte ścisłym materiałem statystycznym mogą się okazać bardzo zwodnicze.”

Jak ocenia pan Pośpieszański obiektywną wymowę ankiety? „Jest faktem — powiada — że 27 proc. regularnie praktykujących stawia polską młodzież akademicką w rzędzie grup społecznych o stosunkowo niskim poziomie praktyki religijnej. Mit o rzekomo wysokiej religijności polskiej młodzieży doznał poważnego wstrząsu.”

...Ankieta warszawska rzuca znamienne światło na charakter polskiego katolicyzmu — w każdym razie w środowisku młodej inteligencji. Potwierdza ona wnioski, które wielu poważnym obserwatorom polskiego katolicyzmu nasuwały się już dawno: że jest to katolicyzm w dużej mierze zwyczajowy, drogi jako element narodowej tradycji.

J. G.

*** „Studenti — Mity i rzeczywistość”, „Przegląd Kulturalny” z 17. 7. 1958 r.

Nikos Chadzinikolau

MIKROOBRAZY

Przestały wyć psy. Przestali błdzić ludzie. Ciemność gesta jak smoła ogarnęła wszystko. Od czasu do czasu pojawia się małe drzące światło — sygnał życia ukolysany ciepłym oddechem. Miasto zgubiło swoje kształty.

Pod sklepieniem ciepła słońca rozpierzchła miłość — data nową barwę światu. Jej płatki uwiązane w łańcuchach koralików czekają na uśmiech.

Trawa dłońmi wiatru maluje krzyk odpływów. Diamenty piasku radują się. Zaraz przyjdą dzieci i budować będą nimi tunele i mosty.

Drzewa ściągają na drodze swój cytrynowy kobierzec. Nierówne są skrzydła wiatru.

Na żółtej ścianie malowana szczelina ciepła. Stanąłem na jej brzegu pragnąc zobaczyć dno.

Zorza świtu otworzyła wszystkie okna horyzontu. Staruszek stoi na dnie milczenia. Jego monotonna melodia myje szyby. Wiem, on pójdzie, ale jego garbate stopy zostaną z ludźmi.

Ten marmur zmienił kolor od bólesci. Nie chce już gaskać ludzkich ciał, choć do nich tęskni. Czarne jego dłonie związane są zapachem wybuchu.

Zamknęły się ustniki kwiatów. Płomień zapachu łączy się w radosny krajobraz. Młodzi spacerują. Ich oczy spotykają się w locie marzeń. Wargi dotykają srebrnych kropel wierności.

Muzyka światła wypełnia ulice. Kroki na wstędze kamiennej są spokojne jak szklanki domowej ciepłoty. Nie zamykają drzwi na skobelki.

Kula tęczy wisiała na sznurze słońca. Dzieci wyciągały ręce myśląc, że to kolorowy latawiec. Wieczorem na niebie pozostały tylko białe ślady dziecięcych dłoni.



Dziś nastąpiło w Klubie MPiK przy ul. Ratajczaka otwarcie wystawy znanego grafika poznańskiego, Z. Salaty. Reprodukowana przez nas praca nosi tytuł „Uliczka w powiecie”.



O muzykalnym szurze i ambitnym zespole WROCLAWSKIEJ OPERY

Rok 1952, pamiętnym był dla zespołu Opery Wrocławskiej. Wówczas bowiem we współzawodnictwie operowym zajął on pierwsze miejsce w Polsce, zdobywając proporzec przechodni! Pod koniec kwietnia tego roku, po wielomiesięcznej wytrwałej pracy, odbyła się dawno oczekiwana polska prapremiera baletu R. Gliera „Czerwony Mak”. Premierę prowadził Kazimierz Wilkomirski, wybitny muzyk i doskonały dyrygent, w latach 1947 - 49 dyrektor Opery Wrocławskiej. Koncepcję choreograficzną „Czerwonego Maku” przygotował Zygmunt Patkowski a dekoracje — Karol Frycz. Był to balet na bardzo wysokim poziomie, a do jego sukcesu artystycznego waleń przyczynił się udział primabaleriny Klary Kmitto.

Starzy pracownicy teatru, klnąc się na wszystkie świętości, opowiadają historiękę wprost bajkowa...

Otóż, gdy na spektaklach „Czerwonego Maku” orkiestra zaczęła grać, z ciemnych zakamarków operowych wyłaził wielki szur, podchodził tuż za kulisy i w skupieniu wysłuchiwał swej ulubionej melodii, po czym zniknął. Działo się to na każdym przedstawieniu „Czerwonego Maku”, zawsze przy tej samej melodii. Słowem szur meloman!

Jednego szur-melomana można by od biedy ścierpieć, ale w zapadniętej Opery było wówczas prawdziwe królestwo szurów. Gryzonię prze różnych maści toczyły ze sobą regularne bitwy, a często zdarzało się, że w czasie przedstawienia przemikały się, wcale nie bojaźliwie, pod krzesłami widzów, składając nieraz wizyty w łóżko...

Budynek Opery wzniesiony w stylu neoklasycystycznym w pierwszej połowie ubiegłego wieku, a odbudowany po pożarze w roku 1872, od tego czasu nie podlegał remontowi. Okazały gmach niszczący deszcze, mrozy, upały... Wojna, kilkutygodniowa bitwa o Wrocław — dopełniła reszty. Toteż, gdy dzisiejszy dyrektor administracyjny, dobrze znany Poznańowi, Włodzimierz



Primabalerina Opery, Klara Kmitto, odniosła duży sukces w czasie występów w Kanadzie. Zdjęcie i wycinek z prasy kanadyjskiej.

Głobisz dokonywał szczegółowej inspekcji gmachu, przekonał się, że na strychu zgromadziły się tony gruzu. Podłoga, znajdującą się tuż nad widownią niebezpiecznie się ugięła. Aby nie siać paniki, zaczęto nocami wywozić gruz. Było tego przeszło 70 ton!! Równocześnie wzmocniono więzania, ubezpieczając je stalowymi hełmami. Obecnie widzowie w spokoju mogą rozkoszować się muzyką — dach im na głowę nie spadnie.

Opera Wrocławska, przeżywająca obecnie czternasty rok swego istnienia, zapisała chlubną kartę w dziejach kultury dolnośląskiej. Kierowali nią kolejno: Stanisław Drabik, Kazimierz Wilkomirski, Jerzy Garda, Adam Kopyciński, Marian Kościelniak, Jerzy Sillich. Obecnie dyrektorem i kierownikiem artystycznym Państwowej Opery we Wrocławiu jest po raz wtóry Kazimierz Wilkomirski, znakomity wiolonczelista i senior uzdolnionej rodziny (siostra jest pianistką, a brat skrzypkiem).

Kazimierz Wilkomirski ma już za sobą 40 lat zasłużonej pracy artystycznej. Po studiach odbytych w Moskwie, od roku 1919 rozwijał muzyczną działalność w kraju. Kalisz, Łódź, Gdansk, tam na stanowisku dyrektora konserwatorium i dyrektora chóru zastąpił wojnę. W Warszawie — oto jego szczególne etapy jego artystycznej kariery. Obecnie — Wrocław, ciężka i odpowiedzialna praca, dająca jednak w rezultacie piękne sukcesy artystyczne.

W aktualnym repertuarze Opery Wrocławskiej znajdują się: „Carmen”, „Halka”, „Era Diavolo”, „Faust”, „Rigoletto”, „Aida”, „Lucja z Lammermoor” oraz balety: „Fontanna Bachczysaraju” i „Kopciuszko”. Przed kilku dniami odbyła się premiera „Goplany” pod batutą Kazimierza Wilkomirskiego (zdjęcie u góry przedstawia właśnie fragment tej opery).

W ciągu czterech lat swej twórczej działalności przez scenę Opery Wrocławskiej przewinęły się wszystkie najważniejsze dzieła literatury operowej świata.

W trzy miesiące po oswojeniu, 8 września 1945 r. odbywa się inauguracja sezonu operowego. Przy przepięknej widowni idzie „Halka” z Jontkiem w wykonaniu Stanisława Drabika. Już w pierwszym sezonie publiczność wrocławska ogląda „Cyrylika Sewilskiego”, „Rigoletto”, „Verbum Nobile”. Prace w ciężkich warunkach wspomaga rzetelna ambicja twórcza, która i dzisiaj jest dodatnią cechą wrocławskiego zespołu. Dotychczas słabe możliwości mieszkaniowe sprawiły, że artyści nie zagrzewali długo miejsca we Wrocławiu. Wiele śpiewaków Opery Wrocławskiej widzimy dziś w Poznaniu; wystarczy wymienić Krystynę Jamroz, Pakulską, Koubę.

Obecnie sytuacja zmienia się na lepsze, gdyż poprawiły się nieco warunki mieszkaniowe: Wrocław buduje się na potęgę.

Artyści Opery Wrocławskiej — to ludzie zżyci z miastem. Tutaj często stawiali swe pierwsze kroki, stąd się wywodzi, tu na scenie wrocławskiej, zdobyli swe artystyczne ostrogi, jak na przykład znakomity bas — baryton Piotr

Ikowski, dawniejszy ślusarz częstochowski.

Z solistek dużym uznaniem cieszą się: Halina Słoniowska, Zofia Konrad, Maria Bosko, Ludwika Kaczowska, Halina Szczegółowska, Wanda Szczepaniak, dr. Roessler-Stokowska. Z solistów wymienić trzeba: Stanisława Romańskiego, Józefa Widere, Henryka Paciejewskiego, Zygmunta Bilińskiego i niestrudzonego Jana Romeyka. Nad całością artystyczną przedstawień czuwa główny reżyser, znakomity fachowiec Lidia Rotbaumówna.

Balet prowadzi Jerzy Gogół. Doskonalszymi osiągnięciami artystycznymi poszczycić się mogą solistka Ruta Syldeff i primabalerina Klara Kmitto, która osiąga wybitne sukcesy na swych gościnnych występach w ośrodkach polskich i słowiańskich w Kanadzie.

Zespół Opery Wrocławskiej ma duże ambicje twórcze. Dlatego też o tej Operze coraz głośniejsze w kraju.

Stanisław KROKOWSKI



Od piramid do drapaczy

Na tę książkę czekano od dawna. Bo — o ile się nie myli — prawie nie nie ukazało się z tej dziedziny na rynku księgarskim po wojnie. Tym większa więc należy się wydawnictwu „Wiedza Powszechna” pochwała, że pomyślało o wznowieniu książki Władysława Witwickiego „Wiadomości o stylach”. Profesor psychologii, twórca licznych rozpraw z dziedziny psychologii i sztuki, członek wielu towarzystw naukowych, znawca kultury antycznej, znakomity tłumacz, rzeźbiarz, malarz i grafik w jednej osobie (!), jak nikt inny chyba mógł się z powodzeniem podjąć tej trudnej pracy gwarantując jej wysoki poziom zarówno merytoryczny jak i artystyczny. W „Wiadomościach o stylach” cała rozległa wiedza autora i jego artystyczne zainteresowania znalazły swój pełny wyraz.

Prócz wiadomości wstępnych, w których autor daje dokładną definicję tego, co należy rozumieć pod terminem styl, następuje część, w której znajdziemy dokładne a równocześnie niemal w beletrystyczną formę ujęte, dla każdego czytelnika zrozumiałe omówienie wszystkich stylów w historii rozwoju cywilizacji i kultury ludzkiej: Egipt, Mezopotamia, Hellada, Rzym, Bizancjum, Islam, romańszczyzna, gotyk, renesans, barok, rokoko, klasycyzm, Wielka Rewolucja, empire i wreszcie style czasów ostatnich. Gdyby autor ograniczył się tylko do architektury, rzeźby, byłaby jednostronna i siłą faktu adresowana do węższego kręgu odbiorców. Na szczęście, prócz architektury, mamy też omówienie rzeźby, malarstwa, ubiorów, mebli, plastyki itp. Całość bogato okraszona przeszło pół tysiącem ilustracji, wśród których znaleźć można piękne zdjęcia najslawniejszych zabytków — dzieł sztuki świata.

Nawiasem mówiąc, autor sam przyznaje, iż nie jest on dla specjalistów, lecz „przede wszystkim dla szerokiego ogółu osób średnio i mniej niż średnio wykształconych” i że starał się pisać przystępnie i „bez frazesów”, a jeżeli czasem przenosiła wykładnia się spod jego pióra, to tylko dla zwięzłości.

M. F.

Władysław Witwicki „Wiadomości o stylach”, opr. płóc., 528 ilu stracji, str. 268, cena 50 zł.

WTENCZAS W POZNANIU...

...był ruch nieustanny,
Ale przez inne zapaly sprawiony,
Wcale nie z mózgu — ruch
cebernytyczny —
Ale ułiczny...
Ani też modny ruch — ale ułiczny...
Szewcy, mospanie, dawali ton...
(Juliusz Słowacki)

Dnia 11 kwietnia 1849 r. poznańska „Gazeta Polska” podała wiadomość z Paryża, która nadeszła dnia poprzedniego. Donosiła ona pod datą 6 kwietnia: *Pogrzeb Juliusza Słowackiego, który... umarł na suchoty, odbył się dzisiaj na cmentarzu Montmartre.*

Zmarł 3 kwietnia 1849 r., sto dziesięć lat temu, Poznań przyjął tę śmierć z największym poruszeniem. Wszak za ledwie przed rokiem poeta był w tym mieście, wtedy gdy rozlegały się strzały mające zwiastować „Wiosnę Ludów”. Znany był w Poznaniu jako poeta rewolucyjny, jako ideolog rewolucji ludowej. Przybył tu wieczorem 11 kwietnia 1848 r. „Schnellpoczta” z Berlina, w gronie kilku towarzyszy (Jędrzej Fredro, Stanisław Tchórzewski, Józef Czarnowski, Szczepan Feliński). Nie wiele brakowało, a byłby aresztowany.

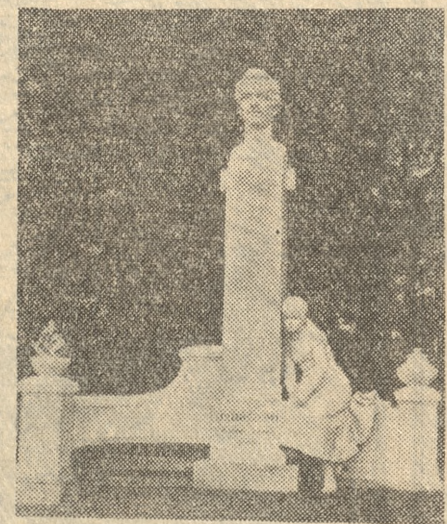
W momencie gdy Fredro legitymował wszystkich ryczałtem na rogatkach poznańskich, u dyżurującego urzędnika, do dyżurnego podeszła jakaś dama i wezwała po francusku znajdujących się wewnątrz emigrantów do natychmiastowego opuszczenia pojazdu — w obawie przed aresztowaniem. Wszyscy też, prócz Fredry, którego istotnie zatrzymano, usłuchali ostrzeżenia. Każdy z podróżnych, wiedziony przez osobną przeciwniczkę, znalazł się wkrótce w bezpiecznej kwaterze. Zdaniem pamiętnikarza, Słowackiego przeprowadziła Bibiana Moraczewska. Poetę umieszczono w mieszkaniu nieobecnego w mieście Karola Libelta i pod opieką znakomitego lekarza dr. Teofila Mateckiego. Libelt mieszkał wtedy przy św. Marcynie 56 (Armii Czerwonej 48). Jeśli lokalizacja nasza jest poprawna, byłby to jedyny ocalały dom między ul. Kantaka a Ratajezaka. Cenny to acz brzydki zabytek — dwa z nim wspaniałe nazwiska związane — Libelta i Słowackiego!

Słowacki był już wtedy bardzo chory. Marceli Moty pisze: *Ja, po sześciu latach niewiedzenia, mało co zmiany w nim dostrzegłem. Trochę się podstarzał i pierśowe cierpienie nieco się wyraźniej w nim uwidoczniło... Znaczenie trzeźwiej ocenił sytuację A. Małeckiego, pisząc: Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się mimowolnie myśl nasuwała, że to człowiek, którego jeśli nie dni, to miesiące są policzone.*

Po powrocie Libelta, przeniósł się Słowacki do domu państwa Bukowieckich. Mieszkał przy Piekarach 16. Niestety domu tego już nie ma, stał na miejscu wejścia do pasażu „Apollo”. Tam to przebywał poeta

od 13 kwietnia do 7 maja 1848 r. — do chwili otrzymania nakazu natychmiastowego wyjazdu. O czwartę po południu dyżurni ruszyli sprzed poczty przy ul. Pocztowej, ku bramie berlińskiej, a dalej przez Sępszew, Kościan, Leszno do Wrocławia.

Poznański epizod z życia Słowackiego zasługuje na bardziej autorytatywne pióro, aniżeli stać na to gawędziarza. Tutaj chodzi o motyw mniej uczony i o kolorystyce bardziej domowym, rodzinnym. Przecież Słowacki, za życia i w ciągu długiego okresu po śmierci, właśnie w Poznaniu był honorowany, gdy w poważnych ośrodkach polskiej kultury było o nim głucho. Mówią o tym i nekrologi poznańskie, obszerne i bardzo odcinające się od króciutkich



oraz oschłych notatek warszawskich, krakowskich czy emigracyjnych. Śluszenie też zauważa się, że hołd zmarłemu poecie składało całe społeczeństwo poznańskie, niezależnie od kierunku przez konał politycznych.

„Zgasta więc znowu jedna z największych gwiazd na firmamencie ducha polskiego. Juliusz Słowacki umarł na wygnaniu, z tęsknotą za krajem ojczystym, z niedośpiewaną pieśnią na ustach, z niewysłutym brzmieniem światła promieniem w piersi natchnionej i wieszecej” — pisała „Gazeta Polska” w dniu 20 kwietnia 1849 r.

Pieśń była wprawdzie niedośpiewana, ale siew jej natchnienia zakiełkował „na ugorze” i żar w sercach wzniecił.

Ziemia wielkopolska wzniosła Mu też, w pięćdziesiąt rocznicę śmierci, pierwszy pomnik; w bardzo osobliwych i trudnych okolicznościach politycznych, w okresie nasilenia ucisku i poniżenia. Było to już po ostatecznym zerwaniu z polityką ugodową,

WYSTAWA MŁODEJ PLASTYKI RADZIECKIEJ

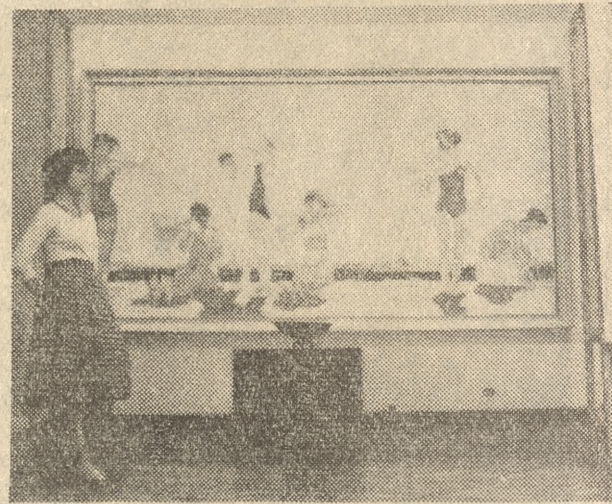
Kilka miesięcy temu, w salach warszawskiej „Zachęty” polski świat artystyczny zapoznał się z dorobkiem szeregu indywidualności radzieckiej plastyki — malarzy, rzeźbiarzy i grafików starszego i średniego pokolenia. Obecnie jest możliwość zapoznania się z dość liczny i różnorodnym dorobkiem młodych radzieckich twórców — przedstawicieli najmłodszego pokolenia artystycznego.

Wystawa Młodych Artystów Plastyków Związku Radzieckiego, której otwarcie nastąpiło w salach wystawowych warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, prezentuje spory wachlarz prac, autorów, tematyki. Zgrupowano tu prawie 40 obrazów 27 malarzy, 14 rzeźb 15 artystów (jedna rzeźba jest pracą wspólną) oraz 60 grafik 17 artystów. Duża część spośród tych prac została wyróżniona na nie-

dawnej, wielkiej wystawie młodych artystów radzieckich, urządzonej w Moskwie z okazji 40-lecia Komsomołu.

Autorami wystawionych prac są młodzi artyści z różnych szkół.

Wystawa jest rzeczywiście interesująca. Pięć na i rzeźby są realistyczne, ciekawe kolorystycznie i tematycznie. Są tu pejzaże, oddające swym kolorytem charakter narodowy republik, są też sceny batalistyczne — z ostatniej wojny i lat Rewolucji. Są portrety martwej natury. Jest pałatos walki zbrojnej i pałatos wielkich budowli — i jest także codzienne życie: odpoczynek, pieśń, miłość... Nie ma rutyny — jest rzeczywistość miładość. (api)



ką m. in. zmanifestowana została złożeniem mandatu poselskiego przez Józefa Kościelskiego w dniu 10 marca 1894 r.

Dnia 16 września 1899 r., w 50-lecie śmierci Słowackiego, w parku miłostawskim odsłonięto pomnik. Pomnik, dziś najczęściej zapomniany i przemilczany, zniekształcony. Rzeźbił go Władysław Marciński. I chociaż nie możemy podzielić opinii Andrzeja Niemojewskiego, który w „Tygodniku Ilustrowanym” tak oto się wypowiadał: „Podziwiam intuicję Władysława Marcińskiego, który tak prawdziwie i pięknie twarz genialnego piewcy wywołał z kamienia. Oblicze Słowackiego skupione, zapatrzone gdzieś w nieskończoność, smutne owym snutkiem wielkich ludzi — pomnik jest i dziś symbolem społecznego hartu i świadomości własnej godności.

Uroczystość, ze zrozumiałych powodów miała charakter prywatny. Niemniej na zaproszenie Kościelskiego przybyło ponad 300 osób ze wszystkich stron Polski. Chór — ukryty wśród drzew, za pomnikiem — odśpiewał hymn „Bogu Rodzica”, po czym wiec zagał książę Zdzisław Czartoryski. Po nim przemawiał Henryk Sienkiewicz, Mówił krótko, ale arcypięknie, o urokach mowy polskiej, której Juliusz był arcykapłanem. Przemawiali też Włodzimierz Spasowicz z Petersburga i Bronisław Dembiński, we Lwowie profesor a rodem Wielkopolańczyk. W momencie gdy spadła zasłona, po przemówieniu inauguracyjnym, wykonana została kantata Zygmunta Noskowskiego (do słów Kościelskiego).

Po tych uroczystych chwilach „...tłum gości sunie w stronę pałacu. W oszklonej oranżerii zasiadamy do biesiady...”, opowiada Niemojewski. A właśnie, że nie w oranżerii a w obszernym namiocie. Bo jeśli pałac nie mógł pomieścić gości, to jakże by ich objąć mogła oranżeria. Dlatego warszawski redaktor przemilczał namiot, pozostawiając jego tajemnicę. Zresztą dla takich gości i pałac byłby tylko namiotem: Marian Gawarewicz, Zygmunt Noskowski, Józef Kotarbiński, Gabriel Kempfer, Władysław Marciński, Karol Brzozowski, Włodzisław Wyczółkowski, Erazm Piltz, Mściśław Godlewski, Rejchman, Bieńkowski. Cała Polska, której przewodził Henryk Sienkiewicz. Był też i gość nie wymieniany przez kronikarzy, Jan Kasprowicz. (Właśnie w tym czasie Teatr Polski w Poznaniu przygotowywał premierę jego „Buntu Napierwskiego”).

Tak uczciła ziemia wielkopolska wielkiego Wieszeza, który według słów autora „Krzyżaków”... wygrał szum naszych lasów, płusk naszych rzek i dźwięw, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosła i jako najpiękniejsza w świecie...

Wiktor TUTEJSZY

CLARA KMITTO, young Polish Ballerina of the Wrocław Theatre of Opera and Ballet will appear as guest artist at the ANNUAL "LUC" CONCERT in Toronto at 303 Bathurst Street. Above, she is shown as she appears in the role of Maria in the ballet "The Fountain of Bakhchisarai".

Nowości

Wg obliczeń Instytutu Badawczego Żeglugi w Bremie stan światowej floty handlowej z początkiem 1959 r. wynosił prawie 122 mln BRT (ponad 37 000 statków). Z tego na statki towarowe, pasażerskie i kombinowane przypada 116 mln BRT (ponad 26 000 statków), a na statki rybackie, techniczne, pomocnicze itd. prawie 6 mln BRT (ponad 11 000 statków). Cały ten tonaż pływa pod 72 banderami, przy czym na pierwszym miejscu znajdują się Stany Zjednoczone z tonażem 23 mln BRT, na ostatnim — Libia z tonażem 1051 BRT (2 statki). Ponieważ jednak ok. 15 mln BRT tonażu Stanów Zjednoczonych należy do tak zwanej floty rezerwowej, która jest wycofywana z eksploatacji, największą aktywną flotą handlową ma W. Brytania. Liczy ona 19,3 mln BRT. Dalsze miejsca zajmują: Liberia — 11,3 mln BRT, Norwegia — 9,8 mln BRT, Japonia — 5,7 mln BRT. Polsce w tej statystyce przypada 23 miejsce z tonażem 471 tys. BRT.

Ansafone — to aparat roz powszechniany ostatnio w Anglii — który rejestruje zlecenia telefoniczne podczas nieobecności osób wzywanych do telefonu. Urządzenie to składa się z magnetofonu połączonego z telefonem. Gdy telefon dzwoni — natychmiast włącza się odpowiedni przekaznik, a po 10 sekundach, gdy nikt nie podniesie słuchawki, magnetofon przekaże przez telefon odpowiednie zlecenie. Taśma magnetofonu starcza na 30 minut rozmowy. Po zakończeniu zlecenia, magnetofon „czeka” jeszcze 10 sekund, po czym zatrzymuje się sam.

W pracowniach naukowców

U profesora dr. Jakóbczyka

Poznań jest miastem o najsilniejszym skupieniu czołowych historyków Polski. Tu pracują uczeni tej miary, co K. Tymieniecki, H. Łowmiański, G. Labuda, J. Pajewski, K. Piwarski, J. Deresiewicz i cała grupa młodszych historyków z Z. Grottem i W. Markiewiczem na czele. Tu pracował Zygmunt Wojciechowski, twórca własnej szkoły historycznej.

Wśród tych imion znanych w całym kraju poczesne miejsce zajmuje prof. dr Witold Jakóbczyk, który oddał się przede wszystkim pracy nad przeszłością Wielkopolski w XIX wieku. Badając szczegółowo okres porzoborowy naszej historii, rzuca na rynek księgarski coraz to nowe publikacje związane z Ziemią Zachodnimi. Nazwisko prof. Jakóbczyka jest znane szerszym kręgom czytelników wielkopolskich, gdyż należy on do nielicznych popularyzatorów wiedzy, związanych z życiem bieżącym społeczeń-

stwa. Ponad 30 publikacji, artykułów naukowych i przeszło 100 dziennikarskich wyszło z pióra, niezależnie od studiów źródłowych, które zamknął w sześciu edycjach książkowych.

Ten wytrawny historyk porzoborowych dziejów Wielkopolski łączy w sobie temperament publicysty z sumiennością chłodnego badacza, gdy wykazuje, jak przebiegała zorganizowana obrona narodowościowa w Poznaniu. Mamy na myśli jego dwutomowe studia nad dziejami Wielkopolski w XIX wieku, jego pracę o reformie rolnej w zaborze pruskim pt. „Komplikacje regulacyjne w Poznaniu” ogłoszone w Roczniku Historycznym w 1952 r. Piszemy poza tym o dziejach wsi wielkopolskiej, o rozwoju bibliotek ludowych w Poznaniu itd.

Zapytujemy prof. Jakóbczyka nad czym pracuje obecnie. — Jestem w trakcie układania pracy zbiorowej pt. „Ha-

kata i hakatyści”, która ma ukazać się w językach polskim i niemieckim. Wezmą w niej udział historycy niemieccy doc. dr Feliks Gentzen z Lipska, dr Mai i dr Ullmann, a ze strony polskiej współpracować będą prócz mnie prof. dr J. Pajewski, doc. dr Galos z Wrocławia i prawdopodobnie prof. dr Wł. Markiewicz. Chcemy wydać ją pod koniec 1961 roku pod egidą Instytutu Zachodniego. Wkrótce w serii popularnych publikacji ukaże się moja rozprawa o Bismarcku.

Historyk poznański nie ogranicza swej działalności do badań naukowych. Jeździ z odczytami. Znają go miasta wielkopolskie i Ziemia Lubuska. Dzięki niemu powstało Koło Historyków ze szkół oświatowych z Kazimierzem Szymańskim na czele.

Prof. dr W. Jakóbczyk jest w pełni sił twórczych. Otrzymał ostatnio nagrodę WRN za działalność naukową stanowiącą niewątpliwie bodźcem do dalszej pracy badawczo-naukowej nad ułomną przez niego Ziemią Wielkopolską.

Rozm. H. BARAŃSKI



Prof. dr W. Jakóbczyk jest jednym z laureatów niedawnej nagrody WRN za działalność naukową w naszym regionie.

Fot. — K. Przychodźki



Amerikanin William Mosa (na zdjęciu) zaprojektował namioty z papieru wodoodpornego i odpornego na ogień. Papierowy namiot na dwie osoby waży niewiele ponad 2 kg.

Fot. — CAF

Kachna i łaźnia

Rzec Wam muszę, że w czasach dawniejszych łaźnie miały nawet takie miasteczko, które stanowiło trzy chaty i dwie kozy na rynku. Kąpał się naród, aż miło. Oto właśnie idzie sławetny Bartłomiej Schulz, zany oby-watelem poznański.

— A skąd to waszmość?

— Z łaźni, przyjacielu. Przecie dziś sobota.

— Czyżby w inne dni tej przyjemności zażyć nie wolno było?

— Mój drogi, w poniedziałek kąpią się pijani, we wtorek bogaci, w środę dwoje, w czwartek parzywi i wszarze, w piątek uparciuchy i nicponie, w sobotę zaś wyższe osobistości. A za takiego muszę się uważać odkąd wybrano mnie starszym cechu.

Ten przepis przyniesiono z Niemiec — dodam dla nauki od siebie. Zaczyna Bartłomiej wziął mnie pod rękę, zaprowadził do siebie, postawił dzban grzanego piwa i opowiadał o łaźniach, które znał — bo był, jak nikt miłośnikiem kąpieli.

— W Krakowie — ciągnął — są jeszcze lepsze łaźnie niż u nas. A jak do tego lud wagi przywiązuje, niech ci, mój przyjacielu chociażby to świadczy, że niejeden majętny oby-wa-

tel część swego majątku na łaźnie dla biedoty zapisywał, uważając to za równie dobry uczynek, jak jatmuż na lub ufundowanie ołtarza.

— A czy to prawda, że niewiasty tam kąpią się wspólnie z mężczyznami?

Bartłomiej roześmiał się:

— Widzę, żeś czytał fraszkę imię Jana z Czarnolasu.

Kachna się każe w łaźni parować. Jeśli bych ja chciał nago wymalować, A ja powiedziałam: gdzie nas dwoje siedzie, Tam pewna łaźnia, mówię, łaźnia będzie!

Rzemieniarz dyktuję przez historię

Gładko to wyrecytował, a potem ciągnął dalej:

— Wprawdzie osobne przedziały dla siebie mieli mężczyźni i osobne niewiasty, ale z ganku mogły wszystkich oglądać, nawet wizytę złożyć. Słyszałem od jednego kronikarza, że za czasów króla Stefana Erazm Czeczotka — Tio-kiński tak się zabawiał z białogłowami w kąpieli, że ducha w tym czasie wyzionął!... Ale bywało też ina-

czej. Godysław Baszko zapisał w swojej kronice, że książę Wielkopolski Przemysław I przez 4 lata dla umartwienia nie używał kąpieli. Ale po mojemu — taki człowiek nie mógł być miłym dla wężu... Gadają też, że w jakimś mieście tak się w jednym bracie zakonnym dama zakochała, że ten wreszcie był zmuszony ostudzić miłosne zalety, pokazując jej nieumyte od lat ciało!...

— Ciekawie mówisz, zacytuję Bartłomieju. Powiedz mi jeszcze, czy w Krakowie zaczęli mieszczanie lub dostojnicy królewscy mają własne łaźnie?

— Poniekąd to ma. Tam i coś innego widziałem. Akurat siedział w odwiedzinach do Drelinkiewicza, co to w kraju sławny z opawy książek, a tu za mną idzie „objazdowa” wanna z obługą. Łazienicy napelnili ją gorącą wodą, pierwsza poszła do niej mistrzowa, potem sam Drelinkiewicz, po nim dzieci, czeladnicy, uczniowie i służąca.

— A skąd, na miły Bóg, tyle wody?

— Mój drogi, toby tam wodę zmieniał! Najwyżej dolali wiadro jedno i drugie! Takie przedsiębiorstwo przydałoby się w naszym Poznaniu. Przecież 11 łaźni nie wystarczy na kilkanaście tysięcy ludzi.

Roześmiałem się głośno:

— Mój Bartłomieju, toż przecież największe osiągnięcie naszego miasta! Czy ty wiesz, że w r. 1958 ma ono tylko 4 publiczne łaźnie na czterysta tysięcy ludzi?

Bartłomiej Schulz zdziwiony popatrzał na mnie. Przekonałem go spisem. Nie mógł się uspokoić. A kiedy wspominałem, że tylko ko parę (na sto) miast i miasteczek wielkopolskich ma łaźnie, że w Wągrowcu nowiusienka łaźnia 4 dni w tygodniu świeci pustką, że na wsi zdaje się nie ma ani jednej łaźni — parsknął:

— A to brudasy!

Nie przeszkodziło to nam dobrać do dna dzbana. A że nie czułem się od kilku dni dobrze, pod łopatką mnie strzykało, poradzi mi przy pożegnaniu zamówić u łaźniarza wannę z mrówkami!...

SKRYBA

PORTRET SASKII i SZKIC MIASTA

(Ciąg dalszy ze str. 1-ej)

nych dzieł sztuki zniszczeniu uległa — na szczęście — tylko nieznaczna część. Obrazy bowiem były przechowywane w kopalniach. Dreźnieńscy podkreślają na każdym kroku pamiętny rok 1955. W tym roku bowiem zbiory, odnalezione i zabezpieczone przez Armię Radziecką, zostały zwrócone miastu. Podobnie, jak zbiory berlińskiego Pergamonu, obejmujące dzieła sztuki antycznej.

Obecnie Zwinger, będący w dalszym ciągu jedną z największych i najcenniejszych galerii na świecie, znów ściągają rzesze turystów, prezentując im zbiory liczące ogółem 750 płócien najwybitniejszych malarzy. Wystarczy powiedzieć, że znajduje się tu 18 obrazów Rembrandta! Podziwiamy kilka portretów Saskii. A przecież to nie wszystko. Bezcennym pomnikiem sztuki jest rafałowska Madonna Sykstyńska, olbrzymi zbiór obrazów Rubensa i van Dycka (po 14), 3 płócien Veronesa, 5 Tycjana, po kilka Velasqueza, Tintoretta, Dürera... W osobnej sali, nieco na uboczu wiszą obrazy malarzy późniejszych, głównie impresjonistów francuskich. Obok reprodukowanych „Dwóch kobiet z Tahiti” można tu podziwiać Van Gogha, Murilla, Watteau, Renoira, Moneta, Maneta, Degasa (znane „Tancerki”), H. Toulouse-Lautreca. Oszałamiające bogactwo...

Przy bramie zegnają nas postacie księcia na koniu. Siły „Frauenkirche” nie jest jeszcze odbudowany. „Nie zapomniemy o zabytkach, ale obecnie przede wszystkim myślimy o budownictwie mieszkaniowym” — przypominają mi się słowa przewodnika. Trudno się dziwić, wobec zniszczeń, które widzimy. Ale Dreźnie, mimo to, nie jest miastem gruzów. Wzdłuż „Pragerstrasse”,

ką była główną ulicą śródmieścia, nie widać ruin. Ich miejsce zajęły place, obsiane trawą. Zresztą te dziwne ulice zaczynają fragmentami odzyskiwać swój prawdziwy sens. Rozmawiałem z kolegą, który zapytał Dreźnie rok temu i mogę powiedzieć, że w czasie tego roku odbudowano wiele. Monotonie pustych placów, nie mch, ale jakże głośno krzyżujących o tragedii miasta, przecinają coraz gęściej ramiona w wielkich dźwigach i stopy budulca. Przeważnie buduje się systemem wielkopłytowym.

Ciekawym muzeum — choć już zupełnie z innej dziedziny — jest dreźnieńskie Muzeum Higieny, urządzone bardzo nowoczesnie. W jego centralnym punkcie stoi wielki, szklany model człowieka. Tekst objaśniający nagrany na magnetofonie w 22 językach, w tym również w języku polskim. W czasie, gdy magnetofon odtwarza z taśmy tekst objaśniający, w modelu zapalają się kolorowe lampki. Bardzo to ciekawe i pomysłowe.

Słoneczna pogoda zachęca do przechadzki nadbrzeżnym bulwarem. Dalej rzeka niknie wśród wzgórz, na których rozsiadły się przedmieścia. Pięknie tu musi być latem. Dreźnie niewątpliwie było jednym z najpiękniejszych miast niemieckich. Już samym położeniem przewyższa Berlin i Lipsk. Było? A może będzie? Dreźnie odbudowuje się na potęgę. Niewątpliwie będzie miastem nowoczesniejszym. Niewątpliwie odbuduje się i zniszczone teatry i Operę. Ale myślę, że Dreźnie straciło coś więcej niż Warszawa. Nowoczesne domy w tym mieście, synagoga — jako całość — jako wspaniała kolekcja baroku, będą już czymś innym...

Janusz BINIEK

Dyskusja „Ile centrów Poznania?”

Wszystkich, którzy interesują się dyskusją „Ile centrów Poznania”, którą prowadziliśmy na naszych łamach zawiadamiamy, że we wtorek, dnia 14 kwietnia br., w Klubie „Od Nowa”, odbędzie się dyskusja na ten temat z udziałem architektów. Będzie to przedłużenie dyskusji, która toczyła się w „Nowym Świecie”.

Początek o godz. 19.



Można pozazdrościć bogactwa, zgromadzonego w dreźnieńskiej galerii. Oto obraz Gauguina „Dwie kobiety z Tahiti”. Oczywiście — reprodukcja czarno-biała nie może oddać znakomitej soczystości barwnej oryginału.



Nieśmiertelny Guy de Maupassant raz jeszcze wchodzi na ekran w filmie pt. „Dom pani Tellier”, składającym się z trzech nowel jego pióra. Pogoń za szczęściem urojonym czy też prawdziwym — oto problem łączący film w jedną całość.

Grają m. in. doskonała w roli prostytutki — Danielle Darrieux, Jean Gabin oraz Daniel Gelin.



Alfred Hitchcock, uważany dziś za klasyka filmu kryminalnego, prezentuje widzowi jeden ze swoich oryginalnych pomysłów w filmie „Okno na podwórze”. Tym razem przebieg zbrodni, jej wykrycie — aż do momentu rozprawy z przestępcą — śledzimy wraz z przykutym do fotela (złamana noga!) bohaterem filmu, fotoreporterem — przez okno jego mieszkania.

Film będzie dla nas tym atrakcyjniejszy, iż będziemy mieli okazję po raz pierwszy ujrzeć w nim słynną Grace Kelly — obecną księżną Monako. Fotoreportera gra sympatyczny, jak zawsze, James Stewart (na zdjęciu).



„Noc poślubna” — to kompilacja noweli pt. „Atak na młyn” Emila Zoli z czysto polską historią walk oddziałów Księstwa Warszawskiego, spreparowana w polsko-fińskiej kuchni aktorsko-reżysersko-operatorskiej. Akcja toczy się na malowniczym tle mazowieckiej wsi, co podkreśla, po raz pierwszy w polskim filmie zastosowana, barwna taśma Eastmancolor.

Jak się toczy — zobaczymy...

Kulisy książęcych mariaży

Walka o cylindry

10 kwietnia odbędzie się w Tokio ślub japońskiego następcy tronu, księcia Aki Hito, z córką miliardera Michiko Shoda. Szef protokołu dworu cesarskiego sporządził już listę zaproszonych gości i poinformował ich dyskretnie, jakie będą obowiązywać stroje. A więc niektórzy będą musieli wystąpić we fraku, inni w smokingu, w zależności od „rang” towarzyskiej. Ustalono także przepisową długość połów fraków i rozmiary węzłów przy krawatach.

Jeżeli chodzi o fraki, to nie przewiduje się z nimi trudności, gdyż strój ten jest powszechnie używany przez dygnitarzy japońskich przy wszelkich uroczystościach. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa z cylindrami, wymagającymi przez protokół. Z wy-

jątkiem cesarza i jego syna, członków ekskluzywnego klubu Rotary, oraz... kłownów, nikt w Japonii nie nosi cylindrów. Producenci kapeluszy wyrabiają ich zaledwie około tuzina na kwartał.

Trzeba więc było zwrócić się o „pomoc” do innych krajów. Ministerstwo handlu i ministerstwo finansów postawiły jednak warunek: przed uzyskaniem licencji importowej i zezwolenia na przydział odpowiedniej ilości dewiz, importerzy japońscy muszą przedstawić tzw. „dowody nieposiadania cylindrów” od swoich klientów. Wówczas między importerami rozpoczęła się prawdziwa wojna — kto pierwszy przedstawi najbardziej przekonujące dowody i otrzyma licencję. Zwyciężył niestety nie Japończyk, ale kupiec francuski z Jokohamy, który wpadł na pomysł udania się do samego „żołub”, czyli do rodziny panny młodej. Ojciec Michiko, Hidesaburo Shoda ma wprowadzić cylinder, gdyż jest członkiem Rotary Clubu, ale sprytny Francuz pamiętał, że nie posiada go dziadek panny młodej. Udał się więc do niego i na poczekaniu otrzymał „świadczenie nieposiadania cylindra” wraz z dokładnym podaniem obwodu głowy. Świadczenie pochodzące od dziadka Michiko poskutkowało natychmiast. Ministerstwo handlu i ministerstwo finansów od razu udzieliły wszystkich potrzebnych zezwoleń.

Przyszli goście weselni martwią się jednak co będzie, jeżeli podany przez starego pana Shoda obwód głowy nie jest typowy dla przeciętnych Japończyków? Czy nie dojdzie do jakiejś kompromitacji, jeżeli panowie wystąpią na ślubie następcy tronu w cylindrach spadających na nos lub sterzających na czubku głowy?

m.



Pocztą maleńkiej Republiki San Marino obdarowała filatelistów nową serią wielobarwnych znaczków. Tym razem jest to seria lotnicza, popularyzująca latającą faunę tego kraiku. Na pięciu znaczkach tego wydania znajdujemy: mewę (winietka za 5 lirów), sokoła (za 10 lirów), dziką kaczkę (za 15 lirów), gołębia (za 120 lirów) oraz jaskółkę (za 250 lirów).

W numerze dzisiejszym reprodukcję 3 znaczki z tej ciekawej serii.

Mgr L. K.



Rozwiązanie krzyżówki

K	A	K	T	U	S	K	B	R	A	K	A	R	Z	O	P	R	E	T	O
A	M	O	R	A	T	U	N	E	L	G	A	L	R	A	C	T	A	M	U
P	O	S	A	D	A	U	O	K	O	W	I	T	A	E	I	P	E	R	Y
R	P	W	Z	R	O	K	N	A	Z	A	T	O	R	Z	W				
C	E	R	E	S			S	I	A	N	O				W	Y	K	A	Z
O	K	A	Z				F	A	R	S	Z				S	T	U	L	A
M	T	F					F	A	O						P	A	T	P	
E	R	A	T	O			R	O	B	E	R				A	T	E	N	A
S	V	J	O	N			A	G	A	T	Y				K	A	R	E	S
G	P	K	O	P	I	E	A	I	S	E	R	I	O	R					
D	O	M	I	N	O		U	F	O	R	T	U	N	A	O	M	A	T	U
A	R	A	K	S	A	L	T	O	E	D	L	A	M	P	A	R	I	E	
R	Y	M	A	R	Z		S	R	E	K	L	A	M	A	A	M	I	R	A

Za nadesłanie poprawnych odpowiedzi nagrody w postaci cennych książek, przyznane drogą losowania otrzymują z Poznania: M. J. Sypniewska, ul. Libelta 29, Barbara Siwka, ul. Dąbrowskiego 472, Cecylia Stańczyk, ul. Przybyszewskiego 45/3, Jadwiga Rybska, ul. Przybyszewskiego 31/4, Tadeusz Czekajewski, ul. Niecała 3 i Jarosław Szyłhan, ul. Słowackiego 36 oraz Włodzimierz Turski z Gdyni, Krystyna Winowicz z Kościana, Edmund Turski ze Strzałkowa i Stefan Lewandowski z Kościana.

Wszystkie nagrody prześlemy pocztą.

Całe zjawisko trwało 2 godziny.

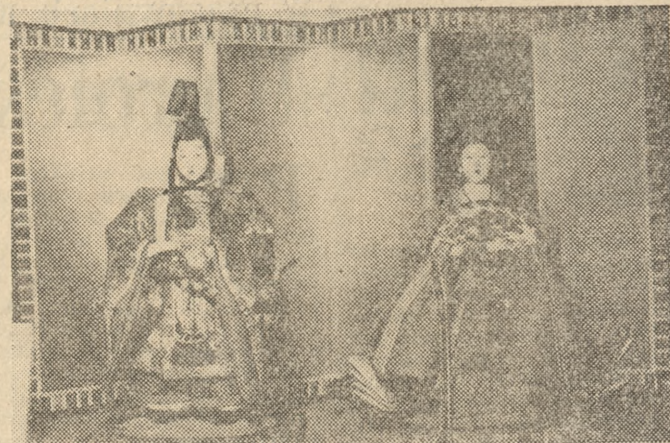
Nazajutrz załoga ponowiła tę samą obserwację. W pewnej chwili te dziwne obiekty zniżyły się, przelatując po drugiej stronie niewielkiej wyspy. Inny statek „Leander” dostrzegł je również i nawet zboczył z trasy dla „dokonania obserwacji. Tym razem defilada tej niezidentyfikowanej floty powietrznej trwała siedem godzin.

Wspomnę jeszcze o dziwnym fenomenie z 17 grudnia 1858 r.: w dniu tym wydarzyło się w Anglii w hrabstwie Worcester katastrofalne trzęsienie ziemi — najsilniejsze, jakie w ubiegłym stuleciu nawiedziło Wyspy Brytyjskie. Wkrótce potem londyński naukowy miesięcznik „Nature” podał, że równocześnie z pierwszym wstrząsem o godzinie 17.30 zaobserwowano silny blask, po czym świetlisty przedmiot przeleciał dokładnie wzdłuż terenu nawiedzonego katastrofą. Rozjaśnił nocne ciemności tak, że można było znaleźć szpilkę.

Autor artykułu, profesor dr Charles Dewison, nazwał równocześnie obu zjawisk dziwnym zbiegiem okoliczności, zaznaczając, że nie znajduje żadnego wytłumaczenia co do natury świecącego obiektu.

Przechodząc do czasów współczesnych, przekonamy się, że zarówno ilość opisów, ich różnorodność jak i bogactwo szczegółów — bije na głowę dawniejsze relacje. Czyżby tylko dlatego, że śmiejsza jest fantazja pokolenia żyjącego wprawdzie w czasach trudnych i dramatycznych, ale niezrównanie ciekawych?

(Dalszy ciąg za tydzień)



Piękne laleczki przedstawiające księcia Akihito i jego narzeczoną w dworskich strojach ślubnych ukazały się w Japonii na półkach sklepów z zabawkami w dniu dorocznego „Festiwalu Lalek”. Małe dzieła sztuki japońskie zgodnie z tradycją kupują sobie w tym dniu nowe lalki.

Fot. — CAF



MIERZEJEWO pod Poniecem w roku 1316 było Mirsowem w 1398 — Myrsewem, potem Mirszewem, a w 1580—81 Mirzewem. Stąd też Mirzewscy (XVI w.).

MŁODASKO, pow. Szamotuły, prawdopodobnie nazwa od rzeczki Młodawy. Czy istniało już w XIII wieku nie wiadomo, bo zapiski mówią o jakimś Młodawsku, należącym do cystersów z Gościkowa, a tam w pobliżu znajdowały się Młodolice, które także mogły być Młodawskiem. Pewne tylko to, że w r. 1387 w tej podpoznańskiej włości siedział Mikołaj z Bytnia.

MŁODZIKOWO — w powiecie średzkim zarejestrowane zostało w księgach ziemskich w roku 1499. Pisało się wtenczas Młodzykowo. (Proszę tej piosnki nie naśladować!).



Suknia łączona: spódnica z wełny, górą płócienna, wykonana z tego samego materiału, z którego zrobiona jest spódnica.

Całość w kolorze musztardowym.



Dom Mody „Telimena” w Łodzi prezentuje też kolekcję wiosenno-letnią.

Na zdjęciu: Komplet letni popołudniowy.

Fot. — CAF

Zamieszczamy drugi z kolei odcinek artykułów Andrzeja Trepki, omawiających jedną z najbardziej pasjonujących zagadek XX wieku. Okazuje się, że zjawisko tzw. „latających talerzy” nie jest bynajmniej czymś nowym...

FANTAZJA czy RZECZYWISTOŚĆ?

trójkątne, inne okrągłe, jeszcze inne przypominały wielokąty bądź zgoła niesymetryczne figury. Niektóre trwały nieruchomo, inne przesuwały się w różnych kierunkach. Jeden sprawiał wrażenie, że grozi mu katastrofa: kołysał się jak liść opadający podczas ciszy. Działo się to nad niebem Francji, w południe, przy słonecznej pogodzie i doskonałej widoczności.

Relację o ciekawym zjawisku spotykamy pod datą 29. VIII. 1893 r. Ognisty obiekt nazwano „zachwycającą kometą, imitującą w dół jasny promień świetlny”; obserwowali go o północy w Liverpool (Anglia) zgromadzone tłumy. Półtorej godziny wcześniej ten sam obiekt zauważono na Atlantyku przez kapitana Noble.

Innego rodzaju obserwacji dokonano 12. XI. 1887 r.: olbrzymi

klab płomieni zrywa się z powierzchni morza koło przylądka Race, unosi się skośnie pod wiatr, w zupełnej bliskości mijają angielski okręt „Siberian” i oddala się nikiem za horyzontem. Kapitan okrętu stwierdził, że po raz drugi był świadkiem takiego fenomenu i to dokładnie w tym samym miejscu.

4 lata później, w październiku 1891 r. znowu marynarze zabierają głos w sprawie fascynującego zjawiska. Oto nad Morzem Chińskim wielokrotnie pojawiają się promienie świetliste, rozchodzące się koncentrycznie z wspólnego ośrodka. Ponadto zauważono świecące obiekty w kształcie kół od wozu, których sprzchy obracały się wokół osi, a jasne obrysy muskały powierzchnię wody.

I jeszcze jedna obserwacja dokonana w tym okresie na morzu. 25 maja 1893 r. załoga francuskiego statku „Caroline”, znajdując się na drodze z Szanghaju do Japonii zauważyła grupę okrętów powietrznych w kształcie dysków, lecących powoli ku północy na tle szczytu górskiego wys. 200 m. Przez teleskop udało się stwierdzić, że są koloru czerwonego i pozostawiają za sobą brunatne smużki dymu.

W XIX wieku aż roi się od opisów najrozmaitszych niezidentyfikowanych obiektów latających. Przytoczę najciekawsze z nich: 20 marca 1869 r. mieszkańcy południowej Anglii zostali zaniepokojeni niecodziennym zjawiskiem: przez niebo sunął wolno przedmiot tak wielki, że po drodze zastaniał sobą Słońce, rzucając cień sięgający brzegami od obserwatora do widnokręgu.

1 sierpnia 1871 r. przerażający czerwony dysk stanął w niebie nad Marsylią (Południowa Francja). Utrzymywał się od godziny 10.43 przez osiem minut. W ciągu dalszych siedmiu minut przesunął się ku północy, jeszcze raz znieuruchomił, by o godzinie 11.03 błyskawicznie oddalić się, znikając na wschodzie.

29 tegoż miesiąca, również we Francji, astronom Trouvelot doniósł o różnych formacjach złożonych z bardzo różnych obiektów. Widziane z ziemi, jedne były